KATOLIK

MILWAUKEE, WIS.

CZASOPISMO POŚWIĘCONE INTERESOM POLAKÓW KATOLIKÓW W AMERYCE.

Nr. 51. Czwartek, 4-go Maja, 1899. Rok III.

"Niegramatyczne!"

W piątkowym numerze Kuryera Polskiego wylał wydawca tegoż heretyckiego piśmidła znów na mnie pełny wór złości, która mu tym razem wyszła ze samego serca. Oprócz tego narobił on mi tyle cudzych grzechów, tyle śmiertelnych występków, tyle zbrodni mi nazarzucał, iż rzeczywiście jestem w kłopocie, co z tem wszystkiem zrobić. Lecz aby Szanownych czytelników nie zostawić w tem mniemaniu, że grzechy, występki i zbrodnie, które mi Michał Kruszka zarzuca, są rzeczywiście tak wielkimi, jak on je przedstawia, postanowiłem je cokolwiek objaśnić.

Największą zbrodnią, jaką według Michała Kruszki popełniłem, jest ta, że prasę, na której "Katolika" drukuję, a który tak uporczywie pod żebro p. wydawcy Kuryera podjeżdża, umieściłem w suterynach pod szkołą. Na tę biedną i niewinną prasę tak się już p. Michał rozłościł, że ją fabryką nazywa. Że zaś w tej fabryce starają się p. wydawcę Kuryerka na dobrego i uczciwego katolika wykierować, toć to wcale nie zła rzecz; bodajby tylko usłuchał braterskiego upomnienia w Katoliku. A co się tyczy podatku, toć przecież wydawca Katolika już dwa lata go płaci od drukarni, to go też i trzeci rok zapłaci. Zatem z tą zbrodnią by jeszcze uszło.

Drugą zbrodnią, jakiej się miałem dopuścić jest ta, że chorym miałem sprzedawać wino po 3 i 5 dol. To chyba p. Michał musiał mieć doskonałego pod czupryną, kiedy to bazgrał. Najprzód ks. Grutza nikomu się ze sprzedażą wina nie narzucał — a jeżeli ktoś przyszedł do niego i zażądał dla chorego wina, to mu butelkę odstąpił za tę samę cenę, za jaką sam kupuje, czego mu nikt za zbrodnię poczytać nie może. Jeżeli zaś M. Kruszka twierdzi, że butelkę wina po 3 i 5 dol. sprzedawałem, to po prostu ten mniemany prawdomówca bezczelnie kłamie i jeżeli nie chce być publicznym kłamcą, to niech mi stawi takiego człowieka, który 3 lub 5 dol. za butelkę wina u mnie zapłacił, niech wymieni jego imię i nazwisko inaczej słowa swego nie cofnę.

Trzecią zbrodnią, której miałem się dopuścić, jest ta, że śp. ks. Horbaczewskiemu nowy ornat ukraść miałem, a w stary go ubrać kazałem. To już mi poraz trzeci M. Kruszka publicznie w swoim szpargale zarzuca, do czego ja się absolutnie nie przyznaję. Radziłbym jednak p. Michałowi Kruszce w bardzo krótkim czasie poszukać sobie tego towarzystwa, które ów ornat kupić kazało i dosyć dużo świadków, bo nam się zdaje, że ich będzie potrzebował. Pan Michał Kruszka myśli, że ks. Grutza jest takim, jak pewien redaktor zbankrutowanego dziennika, co w nocy przenosił ze swoją połowicą we fartuchu nowe czcionki należące do spółki z drukarni do swego mieszkania, zapominając o tem, że przestępuje siódme przykazanie Boskie "nie kradnij!" Gdyby zaś panu M. Kruszce koniecznie chodziło o nazwisko tego redaktora — to jest tu jeszcze kilku obywateli w Milwaukee żyjących, od których się imienia i nazwiska jego dowiedzieć może. Że więc p. Michał myśli, że to wszyscy ludzie są takiego usposobienia, jak ów powyżej wymieniony redaktor, więc też każdego złodziejem chce robić. A że i mnie p. Michał Kruszka juz tyle razy zarzucał, żem ornat ks. Horbaczewskiemu ukradł, dla tego oświadczam Szanownym Czytelnikom, że ten wrzekomy prawdomówca znowu bezczelnie kłamie i jeżeli nie chce być publicznym oszczercą, niech wyjawi nazwisko tego towarzystwa, które miało ów ornat zapłacić i niech poda świadków, że ten ornat ukradłem. Inaczej znów słowa nie cofnę.

Czwartą zbrodnią, którą mi Michał Kruszka zarzuca, jest, żem obrazami pedlował. Kto w ów czas był w Milwaukee, ten wie na co poszły pieniądze, zebrane za obrazy. A jeżeli Michał Kruszka nie wie, to mu radzimy udać się na narożnik trzeciej i Lincoln avenue, a zobaczy tam budynek wyższej szkoły, który swego czasu kosztował przeszło $21.000, a w tym budynku tkwi przeszło $2.000, zebranych za obrazy. Z tej wyższej szkoły polskiej przeszło czterdziestu już młodzieńców z wyższem wykszałceniem wyszło i wielu z nich pobiera już dzisiaj więcej miesięcznej płacy niż nie jeden redaktor od Kuryerka. Zatem ma to być taką okropną moją zbrodnią, żem ludzi wysłał w świat z obrazami, aby wznieść ten wyższy zakład?

To chyba tylko taki pseudo patryota i pseudo-katolik, jak nieprzymierzając wydawca Kuryera, twierdzić może.

Co się zaś tyczy parafian w South Milwaukee, to tu Kuryerkowi chyba odpowiedzieć zmuszeni jesteśmy polskim przysłowiem: "Nie wtykaj nosa, gdzieś nie dał grosza!" — Ks. Grutza dojeżdżał przez ośm miesięcy swoją własną furmanką do South Milwaukee, za to odebrał 24 dolary i 50 centów i 6 dol. kolekty. Potem zaprzestał tam jeździć, a Kuryer go nie tylko złodziejem, zdrajcą, ale nawet i przyczyńcę niezależnego kościoła za to robi. Czy to nie podłość?

Potem pyta się Michał Kruszka z moskiewską miną, skąd ja mam prawo księży bronić? To chyba już szczyt bezczelności! Więc ten heretyk koniecznie chce we was wmówić Szan. Czyt., że księża milwauccy przytakują na jego herezyą o spowiedzi. Czyście wy nie słyszeli po kościołach, z jakim zapałem zbijano wywody Michała Kruszki o herezyi o spowiedzi? A ten śmie dzisiaj twierdzić, że nawet prawa ich bronić nie mam?

Szanowni Czyt.! tak źle jeszcze z kościołem katolickim nie jest, żeby pierwszy lepszy heretyk mógł zakazać go bronić.

Wreszcie każe mi p. Mich. Kruszka szukać jego Krytytyki, a nawet w niej stronnicy. Do tego niech on sobie kogo innego najmie. Każdy, kto pamięta Krytykę, to obrzydliwe anarchistyczne piśmidło, przyznać musi, że to był poroniony płód djabła i ja mam w tych djablich wydzielinach grzebać? Tego się p. Michał Kruszka nigdy nie doczeka. Przecie jeszcze dzisiaj dosyć ludzi żyje, którzy lepiej o tem opowiedzieć umieją, anizeli ja to opisać zdołam, czem była Krytyka i krytykarz i jak on w swojej krytyce księży żarł i ludzi przeciw nim podburzał.

Otóż to są te okropne zbrodnie, których się miałem dopuścić.

Lecz gorzej jest z p. Michałem Kruszką. Kazdy wie, że Kuryer Polski nie jest gazetą, należącą do żadnej spółki, tylko jest własnością p. M. Kruszki. W numerze 72. z dnia 25. marca b.r. ogłosił on następujące herezye: (podajemy tu dosłownie zdania Kuryera Polskiego). "Że zaś nawet rzeczywiście uczeni w świecie chrześcjańskim nie uznają spowiedzi (tajnej jak my spowiedź rozumiemy) za konieczną, jest to samo faktem, jak faktem jest to, że Chrystus tejże tajnej spowiedzi nie ustanowił, lecz dopiero później Ojcowie Kościoła ją ustanowili."

Dalej pisze Kuryer:

"Spowiedź tajna czyli uszna nieznana była w pierwszych wiekach, choć już wtedy wymagał Kościół od grzeszników, aby w pewnych wypadkach winy swe publicznie, głośno wyznawali czyli "spowiadali". Lecz gdy przez taką publiczną spowiedź nierzadko skandale powstawały, papież Leon Wielki (od roku 440 do roku 461) upoważnił księży po parafiach, aby spowiedź prywatnie, nie publicznie, przyjmowali. Atoli spowiedź taka bynajmniej nie była obowiązkową ani ogólnie zaprowadzoną.

Dopiero na Czwartem Laterańskiem koncylium w roku 1215, pod papieżem Innocentym III, w 21ym kanonie czyli artykule (Omnis utriusque sexus fidelis" t.j. wszystkim obojga płci wiernym) nakazano co najmniej raz w rok usznie spowiadać księdzu swe grzechy "pod utratą chrześciańskiego pogrzebu". Odtąd spowiedź uszna stała się sakramentem.

Dlaczego Kościół przez dwanaście set lat bez sakramentu spowiedzi się obchodził, dlaczego ani zbawienia ani Boga nie odmawiał niespowiadającym się, dlaczego wreszcie mędrcy Kościoła uznali za stosowne w dwanaścieset lat po Chrystusie spowiedź uszną jako Sakrament ustanowić, w to nie będziemy wchodzili, bo to rzeczy dla teologów i historyków a nie dla nas.

To tylko powiemy na zakończenie, że odtąd Kościół "pod utratą chrześciańskiego pogrzebu" (a nie pod utratą zbawienia jak ktoś twierdzi) spowiedź raz w rok nakazuje," itd.

Są to więc słowa samego Kuryera i nikt tego zaprzeczyć nie moze. Jest tam więc kilka herezyj mianowicie: że OO. Kościoła dopiero w XIII. wieku zrobili spowiedź Sakramentem —że spowiedź nie była obowiązującą każdego — że ludzie mogli być bez niej przed trzynastym stuleciem zbawieni — że spowiedź nie pod utratą zbawienia, lecz tylko, aby uzyskać pogrzeb chrzesciański jest ustanowioną. Lecz cóż p. Kruszka robi? Otóż w numerze 101 Kuryerka zaprzecza wszystko i pisze: "Wydawca ani żaden z redaktorów Kuryera artykułu o spowiedzi nie pisał. Dla czego więc Ks. Grutza ciągle osobiście na wydawcę Kuryera napada, wiedząc że pisze nieprawdę?"

Szan. Czytelnicy osądźcie to sami, kto tu jest kłamcą, czy Michał Kruszka, który się swojej bazgraniny wypiera, czy ja, który mu tego kłamstwa publicznie dowiodłem.

Jakżeż z takim człowiekiem można polemikę prowadzić, kiedy on nie wie, co to polemika. W przeszłym numerze Katolika zapytałem go publicznie, którzy to z księży milwauckich są niezadowoleni z mojej obrony spowiedzi św.? A on jak żak szkolny odpowiada na to znów pytaniem: "Kto mię do tego upoważnił bronić księży?" Widać więc, że to wszystko pozmyślał i tem się chce usprawiedliwić. To tylko błazny tak odpowiadają. Tu nie chodzi o mnie, tylko o znieważony przez niego artykuł wiary św. a on tu musi odpowiadać, jeżeli chce uchodzić za katolika. Teraz widzicie Szanowni Czyt. z kim macie do czynienia. Podałem mu nawet formułę, jak to publiczne z g o r s z e n i e, które dał ludziom odwołać, ale i w tym względzie milczy. Widać więc, że to jest jego zasada herezye rozpowszechniać między ludem.

We wtorkowym numerze Kuryera zaś wydrukował on kilka moich listów, pisanych do Ks. Zielińskiego względem kopalni złota w Kalifornii, chcąc mię przez to zohydzić. Lecz czy tam kto w tych listach znajdzie coś nieuczciwego? I owszem, tam się każdy przekonać może, że miałem najlepszą intencyą i mam ją do dnia dzisiejszego, gdyż nasza kopalnia jest zapłacona i wartość swoję posiada. Spółka nasza też nie jest bankructwem ogłoszoną. A więc o cóż chodzi? o trochę cierpliwości? To zaś co księdzu Zielińskiemu powiedziałem, że nikt nic w niej nie straci, to jeszcze dzisiaj raz powtarzam, a nawet radziłbym P. Michałowi Kruszce, aby i on kilka akcyj kupił, żeby miał później czem swym robotnikom zapłacić. Niech więc tylko p. Michała o nie swoje rzeczy głowa nie boli, bo ma **swoich tak dużo — że je aż ze swego offsu usunąć musiał.**

Ks. W. Grutza.

Bezskuteczna próba układów

O ZAWIESZENIE BRONI ZE STRONY FILIPIŃCZYKÓW.

29. kwietnia odbyła się konferencya jenerała Otis z posłami od powstańczej komendy wojskowej pod sztandarem parlamentarnym względem zawieszenia broni. Komisarze filipińscy żądali zaniechania kroków nieprzyjacielskich na trzy tygodnie, w którym to czasie mógłby kongres filipiński zadecydować sprawę pokoju. Żądaniu temu nie uczynił jednak zadość jenerał Otis, obawiając się prawdopodobnie, aby żądana przerwa we walce nie była obliczoną ze strony powstańców na przygotowania wojenne lub na oczekiwaną tam obecnie porę mokrą, którą powstańcy uważają za silnego sprzymierzeńca we wojnie z nieprzyjacielem ze strefy umiarkowanej pochodzącym.

Antyproklamacya Filipińczyków.

W Manili pojawiła się proklamacya przywódców powstańczych w odpowiedzi niejako na proklamacyą, ogłoszoną przez komisarzów amerykańskich. Jest ona datowana 15go kwietnia, a podpisana przez niejakiego Maduiniego. Oświadcza ona, że proklamacya washingtońska miała na celu zagrzanie kongresu do ratyfikacyi odstąpienia Filipin na mocy pokoju paryskiego. Twierdzi nastąpnie, że kontrakt względem odstąpienia tych wysp zawarto z Hiszpanią wtenczas, gdy się już hiszpańskie panowanie na nich skończyło na podstawie siły wojsk filipińskich. Oświadcza również, iż nie czują się filipińczycy obowiązanymi do spełnienia amerykańskich przyrzeczeń, danych hiszpanii z powodu, iż nie byli reprezentowani na konferencyi paryskiej. Wreszcie zawiera ubolewanie nad brakiem pomocy zagranicznej w tej wojnie i kończy zapewnieniem, iż będą walczyli do ostatniej kropli krwi.

OFIARĄ BURZY ŻYCIE I MIENIE DWÓCH MIASTECZEK.

W stanie Missouri szalał uragan 27. kwietnia tak gwałtowny, że zwiał zupełnie z posad 400 budynków w miasteczkz Kirksville, liczącem przeszło 5000 dusz ludności, a w miejscowości Newton zburzył niemal wszystkie zabudowania. W pierwszej miejscowości straciło życie pod gruzami walących się domów 50 osób, w drugiej 20, a przeszło tysiąc jest poranionych. Ciemności niemal dotykalne zakryły cały widnokrąg zniszczonej orkanem przestrzeni, jakby dla ukrycia strasznego widoku przed oczyma tych, co tę chwilę grozy przeżyli. Aż z gruzów powywracanych domów buchnął nagle pożar, oświecając miejsce zniszczenia. Nie myślano tym razem o gaszeniu płomieni; przeciwnie szukano przy ich widoku żyjących jeszcze między gruzami dogorywających i rannych.

Ustawa o ślubach małżeńskich

POD KARĄ $500.00 ZA PIŚMIENNEM POZWOLENIEM OD 5 MAJA.

Ustawa, dotycząca zaprowadzenia pozwoleń od sekretarza powiatowego na zawieranie ślubów małżeńskich obowiązuje od dnia 5 maja, a to z uwagi, iż wedle przepisu tejże musi być koncesya uzyskana na 5 dni przed ślubem. Kto więc ma zamiar przystępować do zawarcia ślubów małżeńskich 5 maja, musi już 1. maja wziąć pozwolenie piśmienne od sekretarza powiatowego tego powiatu, w którym narzeczona jest zamieszkałą. Jezeliby zaś narzeczona nie mieszkała w stanie Wisconsin, natenczas ma być pozwolenie wydane przez sekretarza tego powiatu, w którym ma być ślub udzielonym. Koncesya ta piśmienna uzyskuje więc prawomoc dopiero piątego dnia od daty wystawienia jej, a posiada ją tylko przez 25 dni., poniewaz według sekcyi 4. tejże ustawy tylko 30 dni jest ważną, licząc od daty wystawienia takowej.

Jeżeli podające strony nie stają osobiście przed sekretarzem powiatowym, lecz wnoszą podanie piśmienne przez notaryusza lub sędziego pokoju, natenczas muszą jeszcze mieć ze sobą dwóch świadków dla stwierdzenia tożsamości ich podpisów.

Sekcya 3. zawiera określenie wieku, do którego trwa małoletność, czyli do którego potrzebnem jest jeszcze przyzwolenie rodziców lub opiekunów; tu mianowicie oznacza pełnoletność mężczyzny 21 lat, pełnoletność zaś niewiasty 17 lat.

Sekcya 4. określa granice okresu ważności koncesyi od daty wydania dni 30, poczem traci moc obowiązującą.

Sekcya 5. oznacza wysokość opłaty w kwocie 50 centów do funduszu powiatowego; sekcya 6. zawiera granice kary pieniężnej lub aresztu w razie dania ślubu stronom, nie mającym certyfikatu od sekretarza powiatowego lub w razie udzielenia ślubu przed upływem 5. dni od daty wystawienia tegoż certyfikatu.

DZIEŁKO DELEGATA NIEMIEC NA KONFERENCYĄ POKOJOWĄ.

Profesor Stengel, delegat państwa Zjednoczonych Niemiec na konferencyą pokojową, mającą się odbyć w Hadze, wydał już drugie dziełko o przedmiocie, do którego jest przeznaczonym jako uczestnik w obradach. W pierwszym podał on pojęcie o wyobrażeniach pokojowych cara według zapatrywania własnego na polityką rosyjską. Z drugiej jego broszury, w tymże samym przedmiocie napisanej, wieje taki sam duch wojwniczy, jak z tamtej pierwszej. Aby wyrozumieć treść jego pracy przedwstępnej do wspomnianych powyżej obrad, wystarczy przytoczyć jedno charakterystyczne zdanie, cechujące treść jego pracy, a mianowicie: "Zamiast deklamowania o pokoju i fantazyowania o projektach Rosyi, daleko lepiej będzie przekonać naród niemiecki o potrzebie utrzymywania stanu zupełnego uzbrojenia na lądzie i morzu w interesie honoru i dobrobytu narodu."

Zgon Pioniera duchownego.

We wtorek, 2go maja, zasnął w Panu wierny Jego sługa, śp. Ks. Wincenty Bażyński, Prowincyał O. O. Zmartwychwstańców w Chicago po 7-mej godzinie wieczorem. Wiadomość o śmierci tego wielce zasłużonego kapłana, pioniera wśród Polonii amerykańskiej doszła nas właśnie w chwili, kiedy Katolik szedł pod prasę. Znany on był każdemu niemal emigrantowi polskiemu w tym kraju; pracował wiele i ucierpiał wiele, czego nikt zaprzeczyć nie zdoła. Pokój jego duszy!

Zgon dostojnego.

W czwartek zeszłego tygodnia odbył się uroczysty pogrzeb Biskupa dyecezyi Columbus O., śp. Watterson'a, który pomimo długiej słabości udzielał jeszcze na kilka godzin przed zgonem świętego Sakramentu bierzmowania w swoim kościele katedralnym.

Na dwa dni przed śmiercią odbył jeszcze podróż do Washingtonu, gdzie porozumiewał się z delegatem apostolskim w zamiarze udania się do Europy dla ratowania swych nadwątlonych sił fizycznych. Następnego dnia po powrocie ze stolicy Stanów Zjednoczonych bierzwał jeszcze, jak wyżej wspomniano, a powróciwszy do swej rezydencyi o w pół do piątej czuł się wielce osłabiony; o trzy kwadranse na 6. w poniedziałek, 24. kwietnia zakończył życie doczesne.

W pogrzebie śp. Biskupa wzięli udział czynny następujący dostojnicy z hierarchii duchownej: J. E. ks. Arcybiskup Elder z Cincinnati, który celebrował nabożeństwo żałobne w kościele katedralnym św. Jozefa i J. E. Biskup Horstmann z Cleveland, który miał kazanie, względnie mowę pogrzebową w świątyni. Po skończonej uroczystości w świątyni odprowadzono zwłoki na cmentarz Kalwaryjski. W tej ostatniej usłudze wzięły udział nieprzeliczone masy ludności, których już podczas uroczystości żałobnej obszerna świątynia objąć nie mogła.

PAROWIEC KANAWAH ROZBITY.

Według depeszy ze San Juan de Porto Rico rozbił się ten okręt w odległości 150 mil od wybrzeży Bermudy; załoga ocalała w łodziach ratunkowych. Parowiec ten wiózł ładunek węgla z New Port do Bermudy. Otwór powstały w kadłubie i złamanie się steru były powodem wypadku. Czternastu marynarzy włącznie z oficerami zdołało wprawdzie ocalić życie, dostawszy się na pokład amerykańskiego okrętu Atlanta, stracili jednak wszyscy całe swe mienie, które pozostało na zatonionym statku, gdyż wobec nagłej potrzeby ratowania życia, która nawet ani żywności ani wody nie dozwoliła im nabrać ze sobą na nieprzewidziany przeciąg tuł[illegible]

KATOLIK

wychodzi w każdy Czwartek.

ABONAMENT:

W Milwaukee za rok cały....$1.50
Numer pojedyńczy............3c
W innych krajach............2.00

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy:

Prof JOHN KUK,
Cor. Lincoln & 1. Ave.
MILWAUKEE, - WISCONSIN.

Wydawca: Ks. W. GRUTZA.

Entered at the Milwaukee P. O. as second class mail matter.

Katolicyzm pachnie heretykom i arcykacerzom.

Dziwne zaiste zjawisko spółczesne nasuwa mimo woli przypuszczenie, że wszystkim dzisiejszym bezwyznaniowcom, ateuszom, kacerzom i heretykom przypada do gustu nazywanie się mianem katolickim i przywłaszczanie sobie tej nazwy, podczas gdy żadnemu rzeczywistemu katolikomi nigdy jeszcze przez myśl nie przeszło, podszywać się pod miano jakiejkolwiek innej sekty religijnej. Jest to oczywistym dowodem, że coraz więcej mamy tak zwanych "katolików z imienia", którzy radźiby żyć heretykami pod nazwą katolików. Ta okoliczność przypomina zdanie Melanchtona, przyjaciela Marcina Lutra, wyrzeczone do swej własnej matki, mianowicie: "Po protestancku dobrze jest żyć, ale po katolicku dobrze jest umierać".

W przeciągu ostatnich kilku lat mieliśmy i mamy dotąd wiele przykładów, że gdzie tylko jakiego połuczonego owładnie czy to pycha, czy którykolwiek ze siedmiu grzechów głównych do tego stopnia, że mu niedogodnem jest życie po katolicku, łączy się z heretykami i arcykacerzami, usiłując jednak zachować nazwę katolika. Gdzie tylko jaka pluta lub zimolęga rozpocznie reformatorskie rzemiosło za pomocą prasy, stara się przecież wszelkimi sposobami i podstępami, wybiegami i kłamstwami utrzymać koniecznie nazwę katolicką swemu piśmidłu; usiłuje okryć je prześcieradłem lub welonem kotolicyzmu, chociaż dzięki postępowi cywilizacyi jest już dzisiaj lud nasz do tyle umysłowo rozwinięty, że umię na pierwszy rzut oka wyróżnić kłamstwo od prawdy, szczerość od obłudy i umie okiem myśli zobaczyć heretycką płachtę pod katolickim welonem.

Chata pod śniegiem.

Legendę pióra Teofila Lenartowicza pod tym napisem podajemy tu poniżej Szan. Czytelnikom dla wyjaśnienia literackiego gustu i daru tego niezrównanego poety wobrazowaniu cnot ludu wiejskiego. Nie tylko w poniżej przytoczonym, lecz w każdym jego utworze poetycznym widać to samo — że umie czuć i myśleć za lud wiejski i począwszy od starca do dziecka małoletniego odzwierciadla on to szczerość, to ufność, to niewinną wesołość, to tęsknotę i smutek, a zawsze miłość ojczystej ziemi u ludu tak wiernie, iż nazwano go nie bez przyczyny Lyrnikiem Mazowieckim. Urodził się bowiem we Warszawie, a nie na całem Mazowszu. Ale bo też lud wiejski nie mieszka we Warszawie, a on właśnie pisał wyłącznie dla ludu i jego uczucia obrazował. Prostota, czyli skromne, a jasne wyrażenie, spokojna refleksya nawet w nieszczęściu, a głębokie uczucie czy to radości, czy smutku; czy litości czy żalu — oto cechy ludu polskiego. A z tą naturą ludu swego zgodziło się w zupełności serce poety. Słusznie powiedział o nim krytyk pism jego, że u Lenartowicza nawet niebo przedstawione po ziemsku, bo uczucie przywiązania do ojczystej ziemi tak jest silne u jego ludu, że ten nie zdołałby nawet pojąć nieba, zupełnie od niej oddzielonego, lecz jest niejako przedpokojem nieba. Poniższy utwór jest obrazem rozpatrzającej, śmiercią głodową zagrożonej rodziny góralskiej, której chatę zasypała śnieżyca. Główuym zaś bohaterem w tym obrazie jest mały chłopczyk, chcący poświęcić swe życie dla ocalenia życia rodziców i rodzeństwa, jak patryarcha Abraham syna Izaaka, o którym słyszał wzmiankę na kazaniu.

Byłoto w górach gdzie śniegi nie giną,
Bystra rzeczułka przepływa doliną,
Ponure tory czernią się w około,
W parowach rzeźka młódź huka wesoło,
A góry jeszcze wierzchołki i brzegi,
Przeszłorocznymi obleczone śniegi;
Aż kiedy słońce ogniście dogrzeje.
Ów śnieg w szeroką rzekę się rozleje
I lecąc z góry na chaty górali,
Czasami całą osadę zawali:
Co też jednego zdarzyło się lata,
Że się śnieżyskiem zasypała chata....
Słuchajcież tedy o nieszczęściu człeka,
A wierzcie, że jest nad ludźmi opieka.
Oto tak było, kiedy raz w dzień biały,
Góralską chatę śniegi zasypały,
Co przystawiona do skały na boku,
We mgłach zdaleka stała jak w obłoku,
Za którą góral szałas wybudował,
Kędy przez zimę owce swoje chował
I tak dobytek cały miał za chatą,
A w izbie wszelki był porządek za to.
Jednego razu, gdy cała czeladka:
Troje drobiazgu, stary Jan i matka,
Siedzieli w chacie obsiadłszy ognisko,
Huk przeraźliwy usłyszeli blisko.
Patrzą: kurzawa, śniegi z góry lecą,
I naraz ciemno, tylko węgle świecą.
Wnet zrozumieli, co się z nimi stało;
Jedno i drugie ręce załamało:
Matko Królowo! toć już pomrzeć z głodu,
Bo do komory nie było przechodu,
Dzieci ujrzawszy, że rodzice w trwodze,
W ciemności onej jęły płakać srodze,
Poczem zasnęły braciszek przy siostrze,
Jak polne kwiatki gdy się noc rozpostrze.
Wśród dnia białego noc nastała ciemna,
I cisza taka ponura, podziemna,
Że już tam z dołu ze ślicznego świata,
Żaden najcichszy głos ich nie dolata,
I ani widzieć, czy świt niebo krasi,
Przy którym z krzykiem wychodzą juhasi,
Czy wschód na niebie czyli zmierzch wieczoru,
Odkąd nie słychać dzwonienia z klasztoru!
Długi czas Janek co czynić, nie wiedział
I jak zdrętwiały przed ogniskiem siedział;
Aż kiedy dzieci zbudzone na nowo,
Poczęły z płaczem kwilić mu nad głową,
Wołając z ciemnych kątów; ojcze chleba!
Poczuł, że przecie coś uczynić trzeba.
Głod małych dzieci siły mu podwoił,
Toporem ręce żylaste uzbroił
I drzwi wywalił i jął kopać w śniegu,
Ale się nie mógł przedostać do brzegu.
Zasypka śnieżna bez końca się zdała,
Siły ustały i ręka omdlała.
Da tego ogień zagasł na kominie,
Od tej wilgoci co ze śniegu płynie,
Topniejącego nad słomianą strzechą;
I z tą się wreszcie rozstali pociechą.
Nie mogąc drzwiami, wywalił okienko,
I począł silnie śnieg rozgarniać ręką.
Palce zgrabiały, nie odbił dwóch łokci,
Kiedy krew jęła bryzgać z za paznogci,
I trzeba było próżny trud odłożyć,
Za cóż więc Pan Bóg chciałby nas umorzyć.
Tak myślał prostak i do Boga wołał,
Bo wielkich grzechów przypomnieć nie zdołał.
Chwile jak lata, a za każdą chwilą,
Dzieci po kątach wygłodniałe kwilą,
Straciwszy wszelką nadzieję rodzice,
Na naleciałą upadli śnieżycę,
A wtedy dzieci krzyczały ze łzami:
Czyż nikt nie przyjdzie wyrwać nas z tej jamy?
Lecz nie przynosił nikt biednym pomocy.
I tak siedzieli w tej okrutnej nocy,
A jednak w strasznem nieszczęściu wytrwali,
Śpiewali pieśni i nie narzekali,
"Kto się w opiekę, Panno litościwa."
A głos ich dzieci, co po kątach spały,
Budząc się płaczem rzewnym zagłuszały,
I tylko jedno dziecko osobliwe,
Jako baranek siedziało cierpliwe,
I samo głodne przez trzy noce długie
Uspakajało jak umiało drugie.
Lat miało trzynaście, lecz rozum nad lata,
Wyraźnie z nieba bo jużciż nie z świata,
Jako ubóstwo nie chadza do szkoły,
Po gór wyżynach pasąc chude woły,
To jedno dziecko co, cierpliwość miało
I z kąta swego pieśni powtarzało.
Nareszcie przyszedł ten czas i godzina,
Kiedy naprawdę śmierć się przypomina.
Widzący tedy że umrzeć przychodzi,
Jako się dobrym chrześcianom godzi,
Poklękli biedni ludzie na pacierze.
Lecz na myśl samę, że ich Bóg zabierze
Bez sakramentów i bez rozgrzeszenia,
Za wszystkie grzechy, wszystkie przewinienia
Poczęli biadać, głowę tłuc o ścianę,
Bo chociaż wszystko Panu Bogu znane,
Ale umierać niosąc z sobą grzechy,
Bez tego słońca niebieskiej pociechy,
To już najtrudniej i znów życia szkoda,
Do serca myśli im żałośne poda.
A w tej narzekań nieustannych dobie,
Gdy się już prawie widzieli przy grobie,
Najstarsze dziecko jakby chcąc ich zbawić
Otarło oczy i tak jęło prawić:
"Oto widzicie ja rzecz taką czuję,
Która mnie cieszy i bardzo raduje.
Wszak pamiętacie to śliczne kazanie,
Coście mnie latoś prowadzili na nie,
O Abrahamie i o Izaaku,
Którego ojciec chciał poświęcić w krzaku,
Dlatego, że Bóg żądał tej ofiary,
Chcąc wiedzieć, jeśli dobrej byli wiary?
Otóż ja chcę być jak Izaak mały,
Żeby te dzieci pożywienie miały
I nie krzyczały już i nie płakały,
Żebyście wy zię także pożywili,
Wy, coście zawsze tacy dobrzy byli,
A jak ja umrę, jak ja tę rzecz zrobię,
To mnie, do nieba Pan Bóg weźmie sobie."
Nieszczęsni ludzie słysząc one słowo,
Rzewnymi łzami płakali na nowo.
Wreszcie Jan stary, wzrok utkwiwszy w niebie,
Rzekł: "Jużciż dziecko to nie gada z siebie,
Jest wola Boża w tem, co ono mówi,
Tedy uczynim, co Bóg postanowi."
Natenczas matka padła jak nieżywa,
I była cisza w chałupie straszliwa,
Nieprzerywana, jak ciężkiem szlochaniem,
Ciężkiem szlochaniem, srogim narzekaniem,
I tylko chłopiec z duszyczką prostaczą,
Słuchał zdziwiony, czego oni płaczą.
Raz jeszcze góral za oknem spróbował,
Czy śnieg nie opadł, czy się nie zluzował,
Wszystkimi siły bił w te śnieżne ściany,
Czy nie ukaże się im świt rumiany.
Ale napróżno, wtedy krzyk straszliwy,
Wydarł się z piersi matki nieszczęśliwej,
Gdy ojciec stary wiodąc wzrok złowrogi,
Podniósł góralski swój topór z podłogi.
Ale gdy kamień do ostrza przyłożył,
Tak zadrżał cały i tak się zatrwożył,
Że spuścił rękę i skamieniał z męki,
Bo na krew swoję nie mógł podnieść ręki.
A chłopiec: ojcze nie bójcie się ino,
Jak ja nie zginę, toć wszyscy poginą
Patrzcie na dzieci, na matuchnę biedną,
Mają umrzeć wszyscy, toć lepiej że jedno —
A potem ja wam i tak nieprzydatny,
I już jesteście na nas bardzo stratny.
Franek już dobrze na górskie polany
Z drugimi może wyganiać barany.
Izaak także grzechem się nie zmazał,
A szedł posłuszny, kiedy Pan Bóg kazał,
To czemuż jabym śmierci miał się trwożyć,
Jakbym ja głowy też nie mógł położyć.
Ot weźcie topór prędzej mój ojczeńku,
I pójdźcie bliżej, ja tu już przy pieńku.......
A w tejże chwili huk się rozległ w koło,
Spuszczone w górę podniósł góral czoło,
Po przeminięciu pierwszego przestrachu,
Gdy przycichł łomot zapadłego dachu,
Ciekawy góral wybiegł z ciemnej nory,
Do zawalonej śniegami komory.
Aż owo ujrzy z serdeczną pociechą,
Że jest dzień biały nad złamaną strzechą;
Swiatło przegląda przez śnieżycę białą
Tak, że już w koło widzi izbę całą.
Śnieg się obrywa, pęk, a ze śniegiem
Sarenka mała, utrudzona biegiem,
W chwili roztopu nad chmurną Łomnicą
Porwana na dół z lecącą śnieżycą,
Spadła przed człeka, co jak z martwych ożył,
Jakby mu anioł baranka położył.
W radości człowiek o złem zapomina,
Toż i góralska zbawiona rodzina
Patrząc na cuda ręki Bożej jawne,
Zapominała swe nędze niedawne,
I na sarenkę oczy się zwracały,
Poklękli starzy, dzieci poklękały,
I tylko chłopię tam nie było małe,
Jedyne w ciemnej izbie pozostałe.
Które nie wiedząc że pękła zapora,
Jak się schyliło pod cięcie topora,
Zmęczone głodem, pokorne, cierpliwe,
Przy onym pieńku, jak gdyby nieżywe
Spało cichuchno, nie myśląc o zgonie,
Jakby u matki rodzonej na łonie.
Gdy go zbudzono, kiedy śród wesela
Jedno się z drugiem radością obdziela,
Dziecko im swoje sny opowie błogie,
Że we śnie widział śliczne kwiaty mnogie,
I niby w wietrze i niby po kwiatach,
Schodzili k'niemu jaśni w jasnych szatach;
"Otóż mnie dola była dana taka
Od Pana Boga jak dla Izaaka.
Chociaż ja przecie nie żadna osoba,
Ale Bóg czyni, co mu się podoba
I kogo zechce, tego zbawić może,
I wszystko dzieje się przez ręce Boże."
Taka się w górach historya stała,
Z której podwójna P. Bogu chwała
Że zbawił ludzi ode śmierci z głodu,
I stąd, że pośród biednego narodu
Coraz to jakąś sierotkę wywiedzie,
By jak gołąbek leciała na przedzie,
Prowadząc nasze białe polskie stado,
Za świętych pańskich złocistą gromadą.

Z dzieła "Przysłowia mów potocznych."

Nie Greczynowie albo Łacinnicy tylko szczycić się mogą języka swego ozdobami: dołożyła dosyć dostatku słów i wyboru własna polskiemu językowi wymowa. Nie żaden tedy języka polskiego niedostatek, ale mówców sprawuje niedbałość, gdy w potocznych rozmowach wyżebranymi u Łacinników słowami nadstawiają (rzkomo) polskiego języka niedolę albo nazwisk właściwość łacińskiem pokrywają mianowaniem, swoję w tem raczej odkrywając niepochopność we wyrażeniu rzeczy, aniżeli jaką mowie polskiej dodając okrasę. Bez pochlebstwa ceniąc i głębiej zastanawiając się prędzej Łacinnikowi nie wystarczy wyrazu, niżeli Polakowi. Że wiele nie wspomnę, bardzo się Łacinnicy u Greków zadłużyli, różnych w potocznej rozmowie nazaciągawszy słów, gdy z grecka mienią monarchia, aristocratia, democratia, tyrannis, anarchia, geographia, geometria, arithmetica, echo, tautologia, annonymus, orthographia, scenographia i t. p. W czem się Polak sławi, gdy właściwą zaszczyca się polszczyzną, zowiąc jednowładztwo, możnorządy albo możnowładztwo, gminowładztwo, bezprawie, bezrząd, krajopisarstwo, miernictwo, rachmistrzostwo, odgłos, równobrzmienność, bezimienny i inne polityczne albo gramatyczne, prawne, tudzież filozoficzne wyrazy albo terminy, którym dość dostatecznie polszczyzna dogadza. Nie czyń tedy krzywdy Polaku polskiej wymowie, nie pochlebiaj tak bardzo mniemanej obfitości obcego języka, abyś co uwłaczał twojej polszczyznie, którać tak obficie wyrazów do wymowy dostarczy, jak sam zechcesz albo opuścisz. Oto masz te przysłowia na przysługę polskiego języka wypisane, polską własnością brzmiące, uwagą głębokie. w niewielu kartach, jako w małej bryle funt dobrego złota, nie ołowiu okazałe wielkością cetnary. Poznasz stąd, że większą ohydą niż ozdobą polskiej wymowy jest, gdy ją gęstymi łacińskiej mowy natykają słowami, aniżeli kiedyby się swą własną odznaczała słów wspaniałością. Zastanów się się z uwagą: nie tylkoć dostarczy, ale zbywać będzie słów polskich i wyboru

Przysłowia:

Jednym praca, drugim cnota, wielom szczęście daje.

Przykrzejsze lekarstwo czasem, niż choroba.

Racya rozum ułagodzi, ale nie połata szkody.

Z uczynku, nie ze słów dobrego poznają.

Złych najbardziej cnota kole w oczy.

Wielkie rzeki cicho płyną, małe strumienie szumem się po kamieniu wloką, choć nie wiele wody.

Prawo jako pajęczyna: bąk się przebije, mucha ugrząźnie; tylko ubogiemu piskorz.

Kto o kim przed tobą, pewnie o tobie przed drugim.

Złotnik w cichości tysiączne kształtuje klejnoty; u kowala pełno huku, roboty za szóstak.

Zły do urazy bierze przestrogę, dobry do poprawy.

Zła fortuna ma tyle dobrego, że rozumu nauczy, a przyjaciela pokaże.

Większa niewola, gdzie się wszystko wszystkim godzi, niżeli gdzie nic nikomu.

Nie mała mądrość — mądrze mówić, lecz największa: mądrze czynić.

Gotowe nieszczęście — zła porada.

Gorący pomiesza, nie pomoże.

Bardziej się bój jednego, kogo urazisz, niżeli się posiłku spodziewaj od dziesięciu, którym dobrze uczynisz; bo tamten bardziej myśli o zemście, niż ci o pomocy.

Chęć pożytku nie przyniesie, ale dobry czyn.

Chcesz być tak szczęśliwy jak ten, co najwięcej ma? — nic nie pragnij; jakbyś wszystko miał, kiedy więcej nie potrzebujesz.

Inna rzecz kara, inna zabój albo zguba człowieka: kara poprawę, zabój koniec żywota przynosi; kara początkiem poprawy, zguba końcem jest kary; nie śmierci złych nam potrzeba, ale poprawy.

Pan czasowi, kto mądrze nim szafuje.

Bez miary lekarstwo obstoi za truciznę.

Nie ten dobrą sprawę zatrzymuje, kto występnych karze, ale kto wcześnie zapobiega, aby nie grzeszono: tysiąca karać niepodobna, kiedy grzeszą; tysiąc zaś zatrzymać podobna zrazu, aby nie zgrzeszył.

Nie majętność albo intrata czyni bogatym, ale rząd i umiejętny rozchód.

Nie puszczaj się w studnię, aż wprzód opatrzysz, jak z niej wyleść.

Nie będziesz miał przyjaciela, gdy wszystkie jego wady uważasz: nie które trzeba przebaczyć, niektórych w nim nie widzieć, niektóre naturze jego darować, kiedy w czem gruntowniejszem dobry. Prawdy, a żartów jako soli używaj, bo prędko przesolisz.

Opatrzny wódz, jak gospodarz w lecie myśli o zimie, coby jadł; w zimie myśli o lecie, coby siał: tak tamten w pokoju wcześnie myśli o wojnie, czemby wojował, we wojnie myśli o pokoju, skądby gruntowną stanowił zgodę; nieopatrzne zaś rozumy dalej nad dzisiaj nie sięgają.

Nie ten porządny hetman, co występnych karze, ale ten dobry, który tak trzyma żołnierza, aby się nań skarżyć nie potrzeba.

Wódz bijąc się, nie wiele pomoże; wiele zaszkodzi, gdy zginie: jak jeden pomoże, a zginie jak tysiąc; w jego duszy wszystkiego wojska dusza.

Dobry wódz nie od wygranej, ale od pewnej nie przegranej radę i wojnę zaczyna.

O radę wojenną pytaj się wszystkich; co masz jednak wykonać, z niewielą to sam ze sobą rozważaj.

Ostrożność a sekret jest to dusza wojny.

Żeby żołnierz był dobry chociaż zły — więcej na hetmanie, niż na żołnierzu; żeby słudzy byli dobrzy, więcej na panu niż na sługach zależy.

ANTEK SIEROTA.

(Jedna z ofiar w r. 1863)

W moskiewskiem więzieniu siedział sierota u stóp księdza, na śmierć go dysponującego i tak opowiadał swoję przeszłość opłakaną:

"Byłem małym chłopcem, kiedy mój tatuś ciężko zachorowali — ja siedziałem sam jeden przy nim i po raz pierwszy widziałem chorobę w naszej chałupie. Matusia bowiem oddała Bogu ducha wtedy, kiedym był jeszcze niemowlęciem. Kilka już nocy nie spałem, przysłuchując się skargom tatusia, a każde stęknięcie lub silniejsze westchnienie przejmowało mnie ciężkim żalem. Przytem ogarniał mię lęk niesłychany tak, że jakie tylko umiałem modlitwy, odmawiałem wtedy.

Było to w zimie. Noc widna, spokojna, z księżycem w pełni i jaśniejącymi gwiazdami na niebie, które się odbijały w zamarzniętej rzece. Śnieg skrzył się milionami światełek, co niby świętojańskie muszki błyszczały dokoła. Było więc pięknie na dworze, lecz strasznie w ubożuchnej naszej chacie i smutno w mojem sercu strapionem.

Stałem długo przed sienią, patrząc na drzewa bezlistne, a w duszy modliłem się szczerze i gorąco — wreszcie pocichutku wszedłem do izby, poprawiłem ogień na kominie, a widząc, że mój tatuś usnęli, wziąłem garść słomy i przy łóżku położyłem się na ziemi.

Niedługo zasnąłem twardo; śniło mi się wiele... i ładnie. Widziałem dostatek w domu, a ojca zdrowego zupełnie.

I kiedy tak smacznie marzyłem, pod oknem pies zawył żałośnie... i tak złowrogo, że po całem ciele uczułem zimne dreszcze.

Otworzyłem oczy i spojrzałem przed siebie; na kominie ogień wygasł, zimno dawało się czuć dotkliwie, tylko przez okienko księżyc zaglądał i oświecał twarz mojego ojca. Twarz jego była blada, oczy zapadłe głęboko, usta ściśnięte i sine, a boleść wyryta na czole.

Skoczyłem na równe nogi, pochwyciłem rękę tatusia i jednocześnie nadzwyczajny strach i rozpacz ogarnęły me serce — ręka tatusia była zimna i sztywna.

— Jezus Marya! tatusiu — zawołałem — to ja, odpowiedzcie mi, otwórzcie oczy, bo ja się boję!

Odpowiedzi się nie doczekałem. Wtedy ten tatuś nieżywy na łóżku, ten pies pod oknem wyjący przeraźliwie, ta samotność w chałupie, wszystko wydało mi się tak strasznem, tak okropnem, że nie zważając na nic, wybiegłem z chaty jak szalony, nie wiedząc sam dokąd i po co? Zdawało się, że mnie coś pędzi, że jakaś dziwna siła dodaje mi mocy, biegłem chyba równo z wiatrem. Naraz zatrzymałem się we dworze i ani wiem, kiedy tam przybiegłem. We dworze cicho, głucho, nigdzie żywej duszy. Wtem zgraja psów obskoczyła mnie w około i szarpać mnie poczęła tak, że ani uciekać ani się bronić nie mogłem.

Wydałem okrzyk bolesny i padłem zemdlony na ziemię.

Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem się w ładnym, czystym i ciepłym pokoju. Leżałem na białej pościeli, ręce miałem obwiązane jakimiś szmatkami, a tuż przy łóżku, na małym stoliku stała miska blaszana ze zakrwawioną wodą. Na ścianach wiele obrazów dużych i małych, a pomiędzy nimi prześliczny obraz Najśw. Panny Częstochowskiej. Do Niej też zwróciłem oczy, aby mi zesłać raczyła pociechę. Ręce i nogi tak mnie bolały, że nawet się ruszyć nie mogłem, a co najgorsza, że w pokoju tym nikogo nie było, do kogo mógłbym przemówić, lub spytać się, gdzie jestem.

Po niejakiej chwili otworzyły się drzwi i weszła do pokoju jakaś niemłoda pani, blada, czarno ubrana i tak surowo na mnie spojrzała, że strach mnie mrowiem przeszedł po ciele. Zwolna zbliżyła się do łóżka. Widząc, że ona nic nie mowi, jeno się patrzy, więc i ja również spoglądałem na nię. Nareszcie rzekła do siebie:

— Taki mały, a złodziej .... cóżto będzie później!

I wyszła z pokoju.

Te słowa wydały mi się straszne.

— Mocny Boże! — zawołałem — oni może mnie mają za złodzieja, lub za jakiego nicponia, a ja przybiegłem tutaj prosić o ratunek!

I coraz smutniejsze myśli przechodziły mi przez głowę. Posądzono mnie, żem złodziej; przypuszczałem więc, że postąpią ze mną, jak ze złodziejem; a tatuś leżą nieżywi w chałupie. Żal ścisnął mi serce, łzy zakręciły się w oczach i serdecznie zapłakałem. Płacz ten z początku cichy, był głośny, po niejakiej chwili i musiał się niepodobać innym, bo wnet weszła jakaś podstarzała panna, wyelegantowana i stanąwszy we drzwiach, zawołała groźnie:

— Nie będziesz cicho ty smarkaczu!.... Czy ci tu źle!

— A juści, że nie dobrze — odpowiedziałem — ja chcę pójść do tatusia.

— A to idź, nikt cię tu nie trzyma.

Po tych słowach obróciła się i wyszła, trzasnąwszy silnie drzwiami; zamiast pomocy, jeszcze na mnie krzyczą, posądzają, a i Bóg wie, co ze mną zrobić gotowi.

Zebrawszy ostatek sił, z trudnością niemałą podniosłem się na łóżku. Ubrałem się, jak mogłem najspieszniej, a że nie wiele miałem rzeczy, więc też krótko trwało moje ubieranie. Nie wiem skąd przybyło mi tyle sił i wytrwałości — bo innym razem nie mógłbym się z łóżka podnieść, tak byłem osłabiony i pokaleczony! Wtedy jednak na wszystko byłem obojętny — nic mnie to nie obchodziło, że krew sączy przez białe szmatki, że nogi drżały z wielkiego osłabienia, jeno pragnąłem gorąco wyjść z tego domu, aby ucałować trupią rękę tatusia! — i szukać u biednych, jak ja, pomocy.

Mróz był siarczysty, słonko świeciło miluchno, przez dziedziniec mało kto przechodził, nikt też nie zwrócił na mnie uwagi i szczęśliwie uszedłem.

Byłem temu rad niezmiernie. Słoneczko miało się już ku zachodowi, kiedy ujrzałem naszę chałupę.

O, niechaj wszystkich ludzi Bóg strzeże od podobnego witania swojej zagrody rodzinnej, gdzie zamiast serdecznego uśmiechu, trupia bladość powita was w chacie.

kiedy wszedłem do sieni, serce gwałtownie mi biło. Płakać już prawie nie mogłem, bo wszystka boleść w sercu została.

Drzwi były otwarte do izby. Wszedłem, stanąłem we drzwiach i rzuciłem wzrokiem na łóżko. Przed niem siedział pies nasz stary i patrzył się na nieboszczyka tatusia. A w izbie ciemno i tak straszno było, że oddechu mi brakło w piersiach. Pies, przybiegł skoro mnie ujrzał, jakby się chciał żalić, że gospodarz wcale uwagi na niego nie zwraca. Pokręcił mi się u nóg, zaskowyczał z cicha i wzrokiem wiódł mnie do łóżka.

Przynajmniej pies powitał mię szczerze!

Ukląkłem przy łóżku prawie bez przytomności — schyliłem głowę, zamknąłem oczy, i byłbym najszczęśliwszy, gdyby Pan Bóg się zlitował i zabrał mnie z tatusiem.

Na dworze miało się ku wieczorowi, a lubo noc była dla mnie najokropniejszą, w tej chwili, nie zwracałem na to uwagi, tylko szeptałem bezustannie "bądź wola Twoja".

Nagle pies zerwał się i zaszczekał, pobiegł do drzwi, w których ukazał się ekonom i ta pani z dworu czarno ubrana.

— A.... jesteś ty nicponiu! — rzekł ekonom. Dlaczego uciekłeś ze dworu?....

Za całą odpowiedź wskazałem na łóżko.

Wtedy pani i ekonom zbliżyli się oboje patrząc na nieboszczyka.

— A to co? — rzekła pani — nie żyje?

Wtedy głośno zapłakałem. Pani litością przyjęta, rzekła do mnie łagodnie:

— Biedaku niepłacz daremnie, bo żałością swoją nic nie pomożesz — co się Bogu zabrać podobało, tego nikt powrócić nie zdoła. — I z dobrocią pogłaskała mnie po głowie. Ta niespodziana litość rozrzewniła mnie jeszcze bardziej — utulić się nie mogłem od płaczu.

— Kiedyż to umarł? — spytał się ekonom.

— Wczoraj w nocy — odrzekłem.

— Tyś nam nic nie mówił? rzekła pani.

— O, mój Boże! — toć ja pobiegłem do dworu po jaki ratunek, ale psy mię pokaleczyły.... zrestą któżby chciał o mojem nieszczęściu słuchać.

— Tośmy cię niesłusznie posądzili, biedny chłopcze i musimy ci tę krzywdę nagrodzić. Biegnij panie Anastazy do dworu — rzekła pani do ekonoma — i opowiedz memu mężowi, jak się rzeczy mają i proś go odemnie, aby przysłał jaką pomoc. Ja tu pozostanę i czekać będę, dopóki pomoc nie nadejdzie. Spiesz się! panie Anastazy.

Ekonom skłonił się i wyszedł.

Ja tymczasem wstałem i jak mogłem rozniecіłem ogień na kominie. Pani tymczasem wypytywała mnie litośnie o różne rzeczy.

(Dokończenie nastąpi.)

Do czytelników.

Z uwagi, iż literatura nasza jest tak bogata, że z niej korzystają nawet inne narodowości i nawet nieprzyjaciele naszej ojczyzny, co dawniej zakazywali nam czerpania z niej wiadomości, kazują dzisiaj przekładać ją na swój własny język narodowy; z uwagi nadto, iż nie kazdemu znany jest cały zakres tejże literatury i treści pojedyńczych jej skarbów, postanowiliśmy gromadzić najcenniejszy ten materyał w tygodnik przeznaczony na księgę okazałą z końcem roku, a to, aby utworzyć tanio doborową bibliotekę domową dla każdej polskiej rodziny w poprawnym dzisiejszym języku polskim. Do tego jednak celu, sięgającego nie na dziś lub jutro, lecz w przyszłe aż pokolenia, nie wystarczą nasze dobre chęci bez poparcia ich przez wszystkich bez wyjątku polaków. Tych bowiem powieści, z których każda kosztuje $2.00 nie zdołamy połączyć w jednę księgę za $1.00, jeżeli się znajdą rodziny polskie, nie pojmujące naszego zamiaru. Na taką zaś księgę przeznaczon jest tygodnik "Źródło" i dla tego uważamy za swój obowiązek objaśnić szanownych czytelników i ojców rodzin o jego znaczeniu i wartości, aby takowy niezwłocznie prenumerowali i nie pozbywali się bezwiednie za $1.00 tej księgi, która będzie zbiorem kilku ksiąg, kosztujących po kilka dolarów. Dotąd jest "ŹRÓDŁO" w rękach 12,000 rodzin polskich.

BOLESŁAW.

Czyli dalszy ciąg GENOWEFY.

Powieść moralna i bardzo wzruszająca, ze średniowiecznych czasów

(Ciąg dalszy.).

ROZDZIAŁ XIV.

Zdobycie Jerozolimy.

Krzyżowcy rozpoczęli szturm gęstem wyrzucaniem strzał i wielkich kamieni z maszyn, ale ich skuteczność zniweczyły wywieszone przez Saracenów wory, wytkane słomą, lub wiązki chrustu. Zapał wojenny porywał chrześcian aż na mury, ale tacy ulegali pociskom kamieni i drzewa. spadli zwykle nie żywi lub okropnie poranieni. Maszyny wnet stały w ogniu zapalone palnymi strzałami, zlane wrzącym olejem i żywicą, którymi parzyli Saraceni chrześcian, a ci więcej musieli łożyć czasu na ugaszenie pożaru niż mogli użyć na ubicie nieprzyjaciół. Dzień pierwszy zeszedł bezkutecznie i nie przyniósł nadziei zdobycia miasta. Ufne tylko spojrzenia na krzyż, którym ozdobioną była wieża Gotfryda de Bouillon, obudzało wytrwałość we walce. Noc zeszła bezsennie, bo obawa napaści kazała walczącym czuwać; tu i owdzie z bronią w ręku drzemali nasi wojacy.

Jak tylko dnieć poczęło, powstali krzyżowcy do krwawej pracy, rozjątrzeni oporem przeszłodniowym. Nieprzyjaciel poznał z nawału, z jakim nań nacierali, że tu idzie o zwycięstwo lub śmierć, przeto dobył reszty sił swoich. Szczególniej wywarł złość swą na wieżę księcia Lotaryngii, wyrzuciwszy tam belkę ogromnie grubą najeżoną ostrymi kolcami, owiniętą zgrzebiem i słomą, oblaną smołą i woskiem, zapaloną, ażeby kaleczyć ludzi, palić bez ratunku wieżę. I prawda trudno było usunąć z wieży to niebezpieczne narzędzie, bo trudno je było pochwycić, a siły były za słabe żeby odrzucić, zwłaszcza że nieprzyjaciel wodząc tę belkę grubym łańcuchem niweczył wszelkie usiłowania. Woda nie gasiła takiego płomienia, szczęściem że miano przy ręku kilka beczek octu, tym więc tłumiono pożar. Siedem już godzin trwała zacięta walka, już wielu walczących chrześcian osłabionych natężeniem sił walczyć dalej nie mogło; już nawet żywe nadzieje hrabiego Normandyi i Flandrów stygły i zażądali, aby walkę do jutra odłożono; nawet dzielni rycerze księcia Lotaryńskiego ustawali, a nieprzyjaciel wydawał przerażający okrzyk radości, w tem zjawił się rycerz na górze oliwnej rycerz majestatycznej postaci, trzymając promienistą ogromną tarczę naprzeciw miastu jakoby zasłaniając chrześcian przed pociskiem nieprzyjaciół. Spostrzegł go Gotfryd i zawołał głosem donośnym: "sporzyjcie na górę oliwną! Oto nam Bóg posyła z niebieskich zastępów Anioła w pomoc". Widok ten zapalił na nowo chrześcian: chorzy zebrali resztę sił, kobiety ujęły miecz rękę, aby wspólną siłą za pomocą Najwyższego walczyć. Rzucono ogromne kamienie przez mury, którymi zdrzuzgotano dwie czarownice z trzema pomocnikami. W godzinę złamano i zniszczono mur, wieża księcia zbliżała się do drugiego; zapalono porozwieszane worki, których dym i wiatr pędził na miasto, że Turcy nim duszeni i oślepieni działać nie mogli. W tem runął pomost z wieży księcia Lotaryngii, służący krzyzowcom do przejścia w miasto; z pałaszami w ręku sypnęli się nasi do miasta. Bolesław w pośrodku dwóch braci z Flandryi: Rudolfa i Engelberta, za nim tuż Golo, Anzelm i Seweryn w pomocy mężnemu młodzieńcowi. — Najdzielniejsi Saraceni stanęli w tem tu miejscu, ażeby gdzie groziło największe niebezpieczeństwo, zjednoczoną siłą takowe odeprzeć; na czele ich stanął sam komendant Iftykar Eduala, który wzniósłszy swój pałasz na Bolesława, krzyknął: "Giń chłopcze z rąk moich!" i byłby rozpłatał Bolesława gdyby czuwający Golo nie był odbił śmiertelnego razu, który tak był dzielnym, że mimo osłabienia przecież dotknął piersi Bolesława i opar się tylko na krzyżu, który nosił pod swym kaftanem. Bolesławowi chroniącemu się przed tem cięciem pośliznęła się noga na rozlanej smole, kląkł, ale tem schyleniem głowy upatrzył miejsce nie ochronione w nieprzyjaciela ciele i gdy ten wymierzał powtórnie cięcie, Bolesław zwinnie pchnął go mieczem, że krew jak z fontany trysnęła, a nieprzyjaciel runął bez zmysłów na ziemię. Jęk rozpaczy wydali Saraceni, widząc poległego wodza, a ten sparaliżował wszystkie ich usiłowania.

Z radośnem uniesieniem rzekł wskazując na młodego rycerza Tankred do księcia Gotfryda i brata jego Eustachego: "To jest Bolesław, przez którego Bóg skłonił na naszę stronę zwycięstwo"! — Przy zwycięzcy legli Anzelm i Seweryn, nagradzając szlachetną śmiercią dawne błędy swoje. Przez wyłom w murze i siekierami rozbitą bramę św. Szczepana rzucili się rycerze i pielgrzymi w miasto wołając: "Bóg pomaga! — Bóg chce zwycięstwa"!

W tym czasie, gdy Saracenów na tej stronie miasta zwyciężono, o mało naprzeciwnej, gdzie dowodził hrabia Tuluzy, nie odnieśli zwycięstwa; wieża bowiem jego, z której walczył, chwiała się już i nie mogła walczących dłużej utrzymać. Nie mało przeto zdziwiło chrabiego, że nieprzyjaciel ofiarował oddać mu twierdzę Dawida, jak skoro mu pozwoli wolno wyjść do Askalonu; na co hrabia chętnie przystał. Powodem tej ofiary muzułmanów była odebrana wieść, że w tamtej stronie miasta chrześcijanie odnieśli zwycięstwo, o czem hrabia jeszcze nie wiedział. Z takim pośpiechem po ustępie nieprzyjaciela rzucili się chrześcianie w bramę miasta, że pod jej sklepieniamy szesnastu uduszono.

Oblężeni długo byli tego mniemania, że tylko jakaś część krzyżowców walczy przeciw nim, że większość udała się na spotkanie spieszących na odsiecz Egipcyan. Dowódcy utrzymywali zapewne mylne to mniemanie, ażeby nie nadwątlić odwagi swoich, owszem utrzymywać ją aż do ostateczności, a przeto w ulicnch miasta trwał jeszcze zacięty opór. Tankred, przy którego boku walczył jak doświadczony rycerz Bolesław, pędził ze swymi opierających się Saracenów. Właśnie przeszli około domu Piłata, gdzie się rozpoczyna droga krzyżowa, a właściwiej droga boleści naszego Zbawiciela; od tego 94 kroków dalej doszli do pobocznej uliczki, przecinającej tę ulicę, gdy spostrzegli jak Turcy pędzą wielką liczbę niewolnika, którego chcieli stawić na murach na przeciw zdobywającym, jako tarcze zasłaniające ich od pocisków i mające zmiękczyć zaciętych, w przekonaniu, że brat przeciw bratu nie zechce walczyć. Ale ten pomysł przyszedł za późno, bo krzyżowcy ze Saracenami już za nadto do siebie zbliżeni walczyli. Pochód tych niewolników wstrzymał się a jeden z nich obie wyciągnąwszy ręce wzniosłym wołał głosem: "Bolesławie! Bolesławie!" — Zwraca w tamtę stronę swój wzrok Bolesław i poznaje choć wycieńczonego nędzą ojca swego. "Tankredzie"! krzyknie radośny, "oto mój znaleziony ojciec, hrabia Sygfryd ze Sygfrydsburga! Pomóż mi ocalić ojca mego"! — i schwyciwszy za ramię Tankreda ciągnąc go w tamtę stronę, iże że najmniejsze opóźnienie mogło mu w natłoku śmierć przynieść. Tankreda komenda "stój" spełzła na niczem; rozjuszeni zemstą i łupu chciwi krzyżowcy nie dali się wstrzymać, a Bolesław widzi już tylko końce palców wyciągającego ręce i upadającego swego ojca. "Stój"! krzyknął po drugi raz Tankred, a odwróciwszy swego uzbrojonego konia, z wymierzonym oszczepem stanął na przeciw tłoczącym się, i wsparty bliskim rycerstwem, powstrzymał szczęśliwie natłok. Już Bolesław podźwignął ojca swego, ale tylko uściśnienie lotne rąk zastąpić musiało przywitanie, bo Tankred rozkazał niezwłocznie tych nieszczęśliwych pod eskortą kilkunastu rycerzy uprowadzić do kościoła grobu Pańskiego. Podług życzenia Bolesława poszedł z tymi Golo, aby opowiedział ojcu zajścia wszystkie od czasu rozłączenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Szydła we worku.

Równocześnie czytaliśmy w Kuryerze twierdzenie, że jest on pismem katolickiem pomimo, (iż herezye publikuje) i wyrzekania na pisma inne katolickie, z pośród których wymienił jako najzjadliwsze dla niego "Katolik" i "Przegląd" z Nanticoke. To już jedno szydło wyłazi z worka, bo przecież katolicka gazeta nie nazwałaby drugiej katolickiej zjadliwą. Swoją drogą jednak nie ubliża ta nazwa ani "Katolikowi" ani "Przeglądowi", owszem jest dla nich takie wyzwisko przeciwnika świadectwem ich wartości.

Powtóre równocześnie milczy na postawione mu pytanie w "Katoliku" co do rzeczy samej, a natomiastmiota oszczerstwa na autora tegoż zapytania, to drugie szydło wyłazi z worka — jad osobisty za wykrycie jego kłamstwa czyli trucizny moralnej poobwijanej w jedwabne słowa.

Ale co Kuryera najbardziej ugniata, tego on nawet wcale nie mówi; za wielki to ból na niego, aby go mógł opisać, dlatego wyręczymy go, aby objaśnić czytelników. Już to przeświadczenie jego właściciela, że Polacy teraz nie są skazani na ten twardy mus czytania koniecznie jego bzdurstw, bo mają obecnie drugi polski dziennik w Milwaukee, a on ma rywala i to takiego, wobec którego trzeba mu się będzie często rumienić.

Dziennik Milw. jest mu dzisiaj cierniem w nodze, solą w oku i śmiertelną kolką w boku; jak żaczek szkolny wobec nauczyciela lub ks. katechety jest Kuryer wobec Dziennika Milwauckiego, którego redaktor nie tylko wie co pisać, ale i jak pisać.

A to jest trzecie szydło, wyłażące z worka, że Kuryer radby się już i katolickim nazwać.

To też ostatni numer jego wydania chłopcy tylko jeszcze pokryjomu wrzucali dawniejszym abonentom do domów, a jeszcze i to upominano się w jego redakcyi, aby im nie zanieczyszczano domów tym pismem.

Korespondencye Katolika.

Szanowna Redakcyo Katolika!

W numerze 101 Kuryera Polskiego z 28. kwietnia wyczytałem wykręt wydawcy tego pisma, jakoby on sam i jego redaktorowie nie pisali artykułu o spowiedzi. Domyślam się więc z tego, że rząd nad Kuryerem musi mieć nie wydawca onegoż lecz pan na Dorota. Ckociaż i w tym razie nie, miałoby jego usprawiedliwienie się żadnej wartości, skoro się nie przestał tytułować wydawcą tego pisma. W tym samym numerze wylewa on krokodylowe łzy na parafią św. Józafata, że będziemy zmuszeni podatek płacić z powodu, iż drukarnia Katolika i Źródła umieszczona jest w suterynach pod szkołą. Podatek od drukarni tej płaci jej właściciel dawno bez względu na to, gdzie ona jest umieszczona, a my wydawcy kuryera za doradcę nie potrzebujemy i potrzebować nie możemy, bo widzimy jak sam sobie radzić nie umie i publikuje herezye, a potem pisze, że to nie on.

Czy nu Dorota tak doradził — Jeżeli tak, to nie potrzebnie narzuca się drugim na doradcę, potrzebując sam tak niedorzecznej rady.

Napady na różne osoby, a nawet na artykuły wiary św. pod pozorem oświecania czytelników już nam zanadto się sprzykrzyły, bo od czasu narodzenia się najpierw "Krytyki" a potem "Kuryera" ustawiczne kłótnie, zaczepki i szkandale za nasze pieniądze czytamy. Są to znamiona zaraźliwe, nieuleczalnej choroby wydawcy tych pism. Jeżeli wydawca K. potrafi dostarczyć dowodu, że tak nie było, dostanie $100.00 nagrody. Przy tej sposobności muszę nadmienić, że wydawca K. zbytecznie zajmuje się cudzymi sprawami, a o swoich przez całe szeregi lat nie pamięta Do takich spraw należy n.p. nie wypłacanie tego, co się komu należy i nazywa się grzechem o pomstę do nieba wołającym. Jeszcze bowiem za roznoszenie Krytyki żali się jeden członek parafii św. Józafata, że ma $1.50 do zadania, chociaż od owego czasu dziesiątka lat upłynęła.

Proszę o umieszczenie tej korespondencyi mej w Katoliku, zostaję

Z uszanowaniem

T. R.

Z DETROIT

Detroit Mich., 25. kwietnia, 1899.

W parafii polskiej św. Wojciecha w Detroit, Mich., odbyło się czterdziesto-godzinne nabożeństwo w dniu 18., 19. i 20. kwietnia b.r Przepełniony kościół ludnością polską z parafii św. Wojciecha przez cały czas czterdziesto-godzinnego nabożeństwa świadczy wymownie o wielkiej pobożności parafian i gorliwej, a skutecznej pracy duchownej kierowników tejże parafii, licznie zaś zgromadzone duchowieństwo miejscowe, a nawet z innych, odległych stron St. Zjedn. dowodzi sympatyi tegoż duchowieństwa polskiego do proboszcza wzmiankowanej parafii, Ks. Fr. Muellera. Przez trzy dni widać było przeszło dwudziestu pracowników winnicy Pańskiej od świtu do późnej nocy, a wymowne słowa znanych już tu kaznodziejów WW.ks. R. Byzewskiego, ks. Gutowskiego i I. Rzadkowskiego ściągnęły do świątyni licznych słuchaczy, którzy skruszeni przystąpili w liczbie około 4,000 do spowiedzi i Komunii św. Z duchowieństwa miejscowego brali udział w nabożeństwie WW. księża: R. Byzewski, P. Gutowski, J. Rzadkowski, J. Fołda, F. Kieruj, J. Godrycz, J. Miller, Fr. Mueller, Fr. Dopke, Fr. Sajecki, nadto J. Janeczek, proboszcz parafii czeskiej i ks. Dziekan B. Wermers, proboszcz parafii niemieckiej, który zakończył nabożeństwo nieszporami i procesyą. Z pozamiejscowych księży dopamagali w pracy: ks.F. Motulewski z Toledo, Ohio, Ks. K. Wałajtys z Mich., Ks. J Moneta z Nebraski, Ks. T. Ługowski z Wisconsin, Ks. I Herr z Mich., Ks. I. Grudziński z Kansas, Ks. I. Lewandowski z Mich. i K. M. Kotecki z Chicago, Ill.

Równocześnie wypada nadmienić o odpuście w parafii św. Wojciecha, jaki się odbył w niedzielę 23. kwietnia, w rocznicę śmierci św. Wojciecha, patrona tejże parafii. Proboszcz miejscowy, Ks. F. Mueller odprawił sumę w asystencyi swych pomocników ks. Fr. Dopke i ks. Fr. Sajeckiego, a ks. J. Moneta z Nebraski wygłosił kazanie o znaczeniu i działalności św. Wojciecha w kościele katolickim wśród słowian.

Jeden z obecnych na nabożeństwie.

SPRAWOZDANIE MIESIĘCZNE

Sekretarza generalnego, Stow. P, w A. pod opieką św. Trójcy:

W kwietniu doszło......	$1,669.59
Bilans z 1. kwartału......	7,907.14
Razem......	$9,576.73

W kwietniu wypłacono pośmiertnego i administracyjnego razem $1,731.91.

Po odciągnieniu rozchodu od powyższej sumy, pozostaje razem kapitału S. P. w A. $7,844.82.

W kwietniu były w Stowarzyszeniu trzy wypadki śmierci i to żeńskie.

W kwietniu wstąpiło nowych członków z różnych towarzystw do Stow. Pol. w Ameryce 14.

Członkowie Stow. Polaków w Ameryce jako assekuracyjna kompania pięknie się rozwija, a członkowie tegoż Stowarzyszenia są dumni, iż są zabezpieczeni na życie w najlepszej organizacyi polskiej. Członkowie tejże organizacyi cieszą się, iż są członkami tak postępowej assekuracyjnej kompanii polskiej, jaką jest Stowarzyszenie Pol. w A. istniejące w mieście Milwaukee pod prawem Stanu Wisconsin. Po wszelkie informacye pojedyńczych członków, mających chęć ubezpieczyć się na życie prosimy udać się do kolektorów tych towarzystw już istniejących w naszej organizacyi; lista ich adresów jest ogłaszana w Dzienniku Milwauckim. Towarzystwa czyli grupy, mające chęć swych członków ubezpieczyć i przyłączyć się pod nasz sztandar św. Trójcy prosimy zgłosić się po informacye pod adresem 728 7ma ave. do

Ig. Górskiego.

Sekr. S. P. w A.

JÓZEF BUDZISZ

Wygrał w Instancyi proces o prawo posiadania na wyspie Jonssa'a

W piątek zeszłego tygodnia toczyła się sprawa pierwszego pozwanego przez syndykat "Steel Co." przed sędzią Johnsonem. Spekulacya kompanii może bardzo łatwo spełzać na niczem, bo adwokat Kiilea nie zaniedba żadnego kroku prawnego na dowiedzenię słuszności, jakesmy to już przed miesiącem przepowiedzieli. Na mocy zażywania posiadaniem 20 letni bez przerwy tak zwanem przeciwnem przyznano prawo własności pozwanemu.

Adwokat kompanii starał się utrzymać zaprzeczenie przeciw posiadania na tej podstawie, iż poprzednik Józefa Budzisza nie przekazał temu ostatniemu posiadania na piśmie, ale sąd wychodził ze zasady, iż przekazanie faktyczne jest takiej samej wartości prawnej, jak na piśmie.

REZYGNACYA PROBOSZCZA W PARAFII ŚW. TRÓJCY

Wielebny Leonard Konrad, proboszcz parafii św. Trójcy zrezygnował z tego urzędu po 40 latach służby i to właśnie w chwili, gdy jubileusz swej służby ma obchodzić. Powodem tego kroku jest, iż parafia nie chce reperacyi kościoła wypłacić gotówką, lecz życzy sobie zaciągnąć dług na takową.

Proboszcz Wbny ks. Konrad, był tego zdania, że parafia jest w stanie koszta reperacyi kościoła gotówką wypłacić, a tem samem prewizyą od mającego się zaciągnąć niepotrzebnie długu oszczędzić. Parafianie zaś uparli się, obstając za zaciągnieniem długu na reperacyą, pomimo, iż mają jeszcze $10,000 starego, nie spłaconego dotąd długu. Być może, iż między rezygnującym jubilatem, a parafią nastąpi jeszcze porozumienie, lecz urzędownie już Wbny ks. Konrad zrezygnował.

— Fr. Grutza, mający skład bławatny w spółce z p. Rutkowskim, wycofał się ze spółki, a p. Rutkowski będzie nadal interes ten prowadził pod nr. 954 Pierwsza Ave.

— Teraz jest właśnie czas aby kupić wiosenne ubranie, kapelusze, spodnią bieliznę, kołnierzyki, krawatki, itd.; jeżeli takowe potrzebujecie idźcie do naszego rodaka Fr. Melin, 454 ul. Mitchell.

—Kupujcie porządki ciesielskie od Herrenbruck'a. nar. 1. i Lincoln.

Pokwitowanie.

Z Milwaukee zapłacili:

J Soporowski	$1 00
F. Filut	1 00
S Kubacki	50
Kozłowski	1 00
M Kuc	1 00
F Miętalak	1 00
J Flaczek	1 00
J Młynarek	50
Fr. Bodus	1 00
S Czaplewski	2 00
Bożyński	1 00
M Rybarczyk	1 00
M Przybylski Detroit, Mich	1 00
R. Piotrowski "	1 00
Ks. R. Byzewski "	5 00
I Michalski Shenandoah Pa.	1 00
J Modrak Baltimore Md.	1 00
S Andrzejewski "	1 00
I Czerwiński "	1 00
Fr. Wieleński "	1 00
F Góra "	1 00
M Kurowski "	1 00
Fr. Piotrzkowski Antigo Wis.	1 00
K Kowalski Chicago, Ill.,	50
A Witucki "	50
J Stróżewski Buffalo N. Y.	1 00
D Jancewicz Mt. Carmel Pa.	1 00
Fr. Shecki Berlin Wis.	1 00
J Walicki White Porte, N. Y.	1 00

Baczność Polacy!

Jeżeli chcecie dobrą urodzajną FARMĘ za małą gotówkę to kupcie

w NOWEJ POLSCE.

"Nowa Polska" znajduje się 155 mil na północ od Milwaukee, w powiecie Marinette, Wisconsin i leży 14 mil od miasta Marinette i Menomonee z 38,000 mieszkańców, nad jeziorem Michigan, gdzie okręty ze wszystkich stron świata dojeżdżają.

Grunta te są wszystkie tak zwane "grunta twardego drzewa", glina i czarnoziem, która wydaje koniczyną od 3 do 4 stóp wysoką, siano "Timothy" od 4 do 5 stóp wysokie, żyto od 6 do 8 stóp wysokie, z jednego akra wydostać można od 200 do 400 buszli kartofli. Nadają się także na hodowlę bydła. Dobrej źródłowej wody jest pod dostatkiem na każdej farmie.

Żądam jedynie, abyście sami obejrzeli moje grunta, które was przekonają, że są dobre do u prawy wszystkiego.

Znajduje się tysiące farmerów około nas—niemcy, anglicy, norwegczycy, francuzi i polacy, którzy zadają od 25.00 do 50.00 dolarów za akier, gdzie ja sprzedaję od 6 do 8 dolarów akier przy ich farmach, t.j. 9,000 akrów po $6.00 akier i 6,000 akrów od $6.50 do $8.00 akier na wypłatę. Tyta' na tych gruntach jest czysty i nikt nie potrzebuje nic zapłacić dopóki nie zbada abstraktu.

Kolej żelazna przechodzi przez środek farm i stacye są co trzy mile. Dobre drogi; są tam szkoły i kościoły.

Po co mieszkać w zaludnionym mieście i płacić dzierżawę, opał i wydatki na żywność, kiedy możecie mieć swój własny dom, możecie pracować na swoim gruncie latem i dostać robotę zimą we fabrykach lub w lasach kiedykolwiek chcecie.

Wszelkie produkty farmerskie można sprzedać za gotówkę.

Każdy, kto widział moje grunta, był zadowolony z nich i farmę kupił, niektórzy z nich mieli farmę blisko Milwaukee i gdzieindziej, drudzy farmerzy oglądali grunta w innych koloniach, jednakowoż najlepiej spodobały im się moje grunta.

Nie traćcie czasu i dobrej sposobności, gdyż ci, co wprzód zakupują grunta, mogą sobie wybrać w lepszem położeniu.

Po bliższe informacye proszę zgłosić się pod adresem:

Teodor Rudzinski,

403 Mitchell St.,

MILWAUKEE, WISCONSIN.